

czd 2552/1977/18

FELIETONY

Warszawski bruk

Wojciech Roszewski

Cracoviana

Brunon Rajca

str. 10

KOMIKS!

CASANOVA PAMIĘTNIKI

Krystyna Wójcik

str. 16



ROK ZAŁOŻENIA 1933

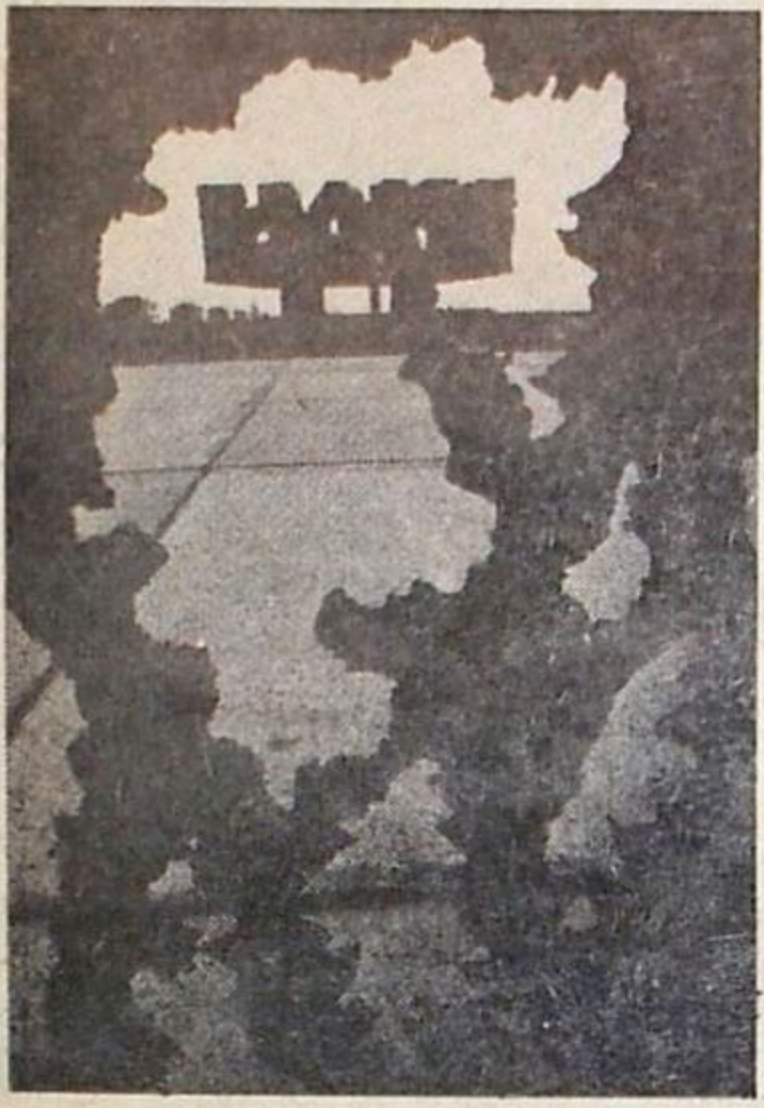
Kamena

LUBLIN 4 IX 1977 Nr 18 (634)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

DNI MAJDANKA



Fot. Marek Stankiewicz

MIĘDZY WISŁĄ A BUGIEM (1)

WRZESIEŃ 1939

Zygmunt Mańkowski

I WRZESNIA 1939 ROKU wczesnym rankiem w wielu urzędach i posterunkach policji wystawiono w oknach aparaty radiowe, rozdzwoniły się telefony. Wcześniej, o godzinie 5 rano, 12 niemieckich samolotów bombowych zaatakowało zupełnie nieprzygotowane do obrony lotnisko wojskowe w Małaszewiczach. Od bomb i kul karabinów maszynowych zginęło 12 osób, 35 odniosło rany. Zniszczeniu uległo kilkanaście samolotów i 4 samochody, kilka bomb trafiło w centralny hangar. W późniejszych godzinach obiektem ataku stała się Wytwórnia Samolotów w Białej Podlaskiej. I tutaj straty były liczne.

Dokończenie na str. 8-9

KAJ czyli symbol

Witold Zechenter

Gdy przed czterema laty w dniu 6 września dowiedziałem się z radia o śmierci Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, nagłej śmierci tego poety ziemi lubelskiej, doznałem uczucia, więcej: przeświadczenia, że z jego śmiercią umarła też pewna epoka, której był symbolem ten działacz kultury, używający często pseudonimu KAJ od inicjałów swych imion i nazwiska...

Bo czy w naszych powojennych czasach możliwa była epoka, jakiej symbolem był KAJ, epoka osobistego oddania się całkowicie w służbę kultury prywatnymi środkami? Nie byłoby to możliwe, chociażby z tego powodu, że nie byłoby potrzebne. Miejsce oddzielnych działaczy, osobistych uczestników prywatnej, jak gdyby, akcji wydawniczej, zajęty instytucje, państwowe przeważnie, niekiedy komunalne czy spółdzielcze. Ale w całkiem odmiennych czasach, tych przedwojennych, gdy kultura nie była tak oficjalnie pielęgnowana przez instancje państwowe, jak obecnie, i gdy dopiero niedługo przed wojną powstało pierwsze czasopismo literackie, określane jako wydawnictwo państwowe, wszczęcie akcji wydawniczej z prywatnej skąty i z prywatnej chęci było niewątpliwie symboliczne dla tamtych czasów i potem już niepowtarzalne. Właśnie Kazimierz Andrzej Jaworski był takim działaczem kultury na własny rachunek — podobny do niego był jeszcze drugi poeta w Polsce, Stanisław Czernik w Ostrzeszowie, na drugim krańcu Polski, który własnym sumptem wydawał czasopismo „Okolica poetów”. Ale pierwszeństwo miał Jaworski, który już od dwu lat wcześniej, bo od roku 1933, zaczął w Chełmie wydawać „Kamena”.

Dokończenie na str. 7

Kobieta biskupem?

Tadeusz Kur

PRZEDSTAWICIELE niemal wszystkich wyznań religijnych na świecie uskarżają się od pierwszych lat powojennych, że przybiera na sile zjawisko indyferencji społeczeństwa, a jednocześnie spadek napływu kandydatów do stanu duchownego. W niektórych krajach, jak w RFN, przyczyny zjawiska usiłuje się szukać w „podatku kościelnym”, który potrąca z poborów państwo i odprowadza do administracji kościelnej. Zarazem szuka się drogi poprawy sytuacji przez szkolenie diakonów, czyli osób świeckich, pomagających księżom i pastorom w odprawianiu nabożeństw i obrządków kultowych. Rozpowszechniło się to w kościele katolickim, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i w RFN. Niezwykle ciekawą próbą jest jednak werbowanie kobiet na stanowiska teologów, pastorów i proboszczów w kościele ewangelickim w RFN, Szwecji i Holandii. Przyjęło się to i

nie budzi w tych krajach specjalnego zdziwienia. Kłopoty zaczęły się jednakże wtedy, kiedy naturalną kolejną rzeczą i z prostą konsekwencją postawiono pytanie: skoro kobieta może mieć pełne święcenia i piastować stanowiska pastora lub proboszcza, to czemu miałyby być przed nią nadal zamknięta droga awansu: do godności biskupa??

Raz jeszcze podkreślam, że nie jest to teoretyczna dyskusja, lecz relacja o walce, jaką kobiety w różnych krajach europejskich, a głównie w Ionie kościoła ewangelickiego (EKD) w Republice Federalnej Niemiec, prowadzą o równouprawnienie z mężczyznami także w tej dziedzinie życia.

Problem nie jest zresztą obcy kościołowi katolickiemu, a wyniki z encykliki „Pacem in terris” (1963) wielkiego reformatora, humanisty i przyjaciela pokrzywdzonych — papieża Jana XXIII.

Stwierdził on wówczas, że największym zadaniem naszych czasów jest obok walki z głodem i wyżykiem — emancypacja kobiet. Określił to, jako zadanie moralne. Nawiązując zaś do kwestii emancypacji kobiet powiedział jasno i prosto: *Kobiety domagają się dla siebie prawnego i faktycznego równouprawnienia wszędzie tam, gdzie go jeszcze nie mają.*

A więc także w Kościele!

Następcą Jana XXIII został kardynał Montini, zasiadający na stolicy Piotrowej pod imieniem Pawła VI. Za swe główne zadanie uznał doprowadzenie do pojednania różnych kościołów i wyznań, ale w sprawie emancypacji kobiet okazał się nieugięty. Być może uważał, że jest to sprawa zapalna, mogąca zaszkodzić dyplomacji pojednania,

Dokończenie na str. 4-5

Kultura jako porozumienie

Ireneusz J. Kamiński

OBYWATELKA portierka nazywa się Kamińska, więc po przedstawieniu się tej dobroduszej kobiecie zostaję otoczony szczególną opieką, i mimo że nie pora, wpuszczony do sali wystawowej domu kultury zakładów „Bałtyckich” przy Wielkim Prospekcie 65 w Leningradzie. Ściągnęły mnie tutaj afisze informujące, że właśnie na Ostrowie Wasiliewskim czynna jest pierwsza ekspozycja „młodych artystów Leningradu, pracujących w dziedzinie artystycznego konstruowania” (wzornictwa przemysłowego, mówiąc po polsku), pod nazwą „Dizajn 77”. Młodzi, warto zobaczyć, zdecydowałem i wsiadłem do trolejbusu na Newskim Prospekcie, zaopatrzonego we wskazówki topograficzne przez Nataszę, studentkę instytutu technologicznego, dorabiającą podczas wakacji sprzedając morożonych na głównej ulicy miasta.

Z Newskiego na Wielki Prospekt droga daleka i dość uciążliwa w godzinach szczytu. Ale trud podróży w znacznym stopniu łagodzi kierowca pojazdu, który po prawdzie pełni funkcje podobne do obowiązków, czy ja wiem — kapłana statku i gubernatora? Zapowiadając przez mikrofon nazwy przystanków i sprzedając w czasie postoju biletami, znajduje jeszcze czas na indywidualną opiekę nad zdezorientowanym cudzoziemcem, który mówi po rosyjsku tak, że rozbawia innych pasażerów. Kierowca rozumie jednak ten wolapik i wysadza delikwenta w odpowiednim miejscu. Jest przy tym absolutnie poważny, pełen poczucia odpowiedzialności — co łatwo zrozumieć komuś, kto np. jechał ulicami Leningradu samochodem, z konieczności lawirując w tłumie.

Obywatelka Kamińska wpuszcza mnie zatem do sali wystawowej na piętrze, dodając dla towarzystwa jakiegoś sympatycznego jegomościa. Oglądam makietę i kolorowe rysunki: pulpitu sterowniczego tele-



Leningrad. Sobór Isaakijewski
Fot. Danuta Lomaczewska

wizji przemysłowej, narzędzi ślusarskich, sprzętu turystycznego, motocykli, wnętrza użyteczności publicznej, obrabiarek, maszyn do sprzątnięcia ulic. Wydaje się to wszystko być funkcjonalne, zaprojektowane z głową, z uwzględnieniem współczesnego myślenia plastycznego. Autorzy projektów to ludzie młodzi, w granicach trzydziestki, zatrudnieni w różnych zakładach produkcyjnych Leningradu, a legitymujący się dyplomami Artystyczno-Przemysłowego Instytutu im. Muchiny, jednej z najlepszych w Związku Radzieckim uczelni tego rodzaju, której patronuje nazwisko wybitnej rzeźbiarki, autorki znanych monumentów o charakterze symbolicznym. Jej dziełem jest m. in. rzeźba pary robotniczo-chłopskiej wykorzystana jako znak firmowy „Mosfilmu”.

Obok ekspozycji znajdują teksty prezentujące poglądy tej młodzieży na cele projektowania przemysłowego. Chcemy, stwierdzają, by otoczenie nasze było wygodne i piękne. Nie jest to zapewne zbyt odkrywcza idea, ale w kontekście pewnego nowego osiedla mieszkaniowego, które widziałem na peryferiach Leningradu, nabiera ona całkiem interesującego sensu. Zróżnicowane formy i gabaryty budynków wznoszonych z różnych materiałów, bujna zielen, niebanalna (choć funkcjonalna) urbanistyka — to wszystko współtworzy rzeczywiście ludzkie środowisko. Ciekawe: bodaj 30 proc. nowych obiektów Leningradu buduje się z cegły.

Na koniec zajrzałem do książki pamiątkowej wystawy i... osłupiałem! U nas wpisuje się do czegoś takiego słowa tyle kurtuazyjne, co zdawkowe, albo wręcz kpiące, w rodzaju: „Panie artysta, co pan ludziom d... zawraca, weź się pan do przyzwoitej roboty!” Tam zaś obowiązuje zupełnie inna konwencja: uwagi są rzeczowe, a przede wszystkim niezwykle rozbudowane, zajmujące po dwie i trzy bite strony dużego formatu. Przeczytałem kilka — nie znajdując cienia dowcipu, czy złośliwości. Na dodatek: było ich ponad dwadzieścia, bardzo dużo, choć wystawę otwarto zaledwie cztery dni temu. Kulturę traktuje się tutaj na serio, może nawet z pewnym nabożeństwem, o czym zresztą już wspominałem. Istotne przy tym, że programowaniem działalności kulturalnej zajmuje się aktyw społeczny w ścisłej współpracy z wyspecjalizowanymi instytucjami o charakterze naukowym. Przekonałem się o tym w trakcie kilku kolejnych spotkań i wizyt w placówkach kulturalnych i badawczych.

Pałac Kultury im. Lenińskiego, w pobliżu stacji metra „Pietrogorskaja”, istnieje od połowy lat trzydziestych i otwarty jest przede wszystkim dla mieszkańców dwóch dzielnic Leningradu, liczących około 700 tys. obywateli. Posiada 25 tys. metrów kwadratowych powierzchni, 120 pomieszczeń, 2 200 000 rubli rocznego budżetu oraz wielką salę widowiskową, w której występuje właśnie państwowy muśichall w rewią pt. „Milionowi nowożeńcy” (bilet na miejsce w 14 rzędzie — 3 ruble). Dziennie przez różne sekcje, kółka zainteresowań, kluby, zespoły amatorskie i sale nauki języków obcych owego pałacu przewija się 12 tysięcy osób. Z liczącej 170 000 woluminów biblioteki, korzysta 25 tysięcy czytelników różnych generacji. Mamy zatem do czynienia z faktycznym, elektrycznym, wysokobrotowym, wielkim kombinatem

(II) kultury, który — domyślamy się — zatrudnia setki osób personelu. Tymczasem okazuje się, po rozmowie z dyrektorem instytucji, że zle się domyślamy.

Pracowników merytorycznych pałac ma raptem około 30! Cały obiekt utrzymuje w ruchu 220 osób, ale — i tu ciekawa historia — aktyw społeczny tego kolosa liczy ponad 1300 ludzi i od nich właśnie zależy dynamika działania placówki. Są to przedstawiciele organizacji partyjnych oraz związkowych tej części Leningradu, a także pracownicy kilkudziesięciu zakładów pracy: inżynierowie, nauczyciele, robotnicy, ekonomiści — którzy oprócz swej podstawowej profesji, byt zapewniającej, uprawiają ponadto różne rodzaje twórczości artystycznej czy technicznej, albo ma-

Inna sprawa, że np. artyści dość dobrze orientują się w sprawach Polski współczesnej. Kiedy po obejrzeniu wystawy w domu kultury zakładów „Bałtyckich” skontaktowałem się po kilku godzinach telefonicznie — dzięki obywatelce Kamińskiej — ze studentem pełniącym dyżur w sali ekspozycyjnej, pierwsze pytanie, jakie ode mnie usłyszałem, brzmiało: „Czy pracujecie w „Projekcie”, albo w „Sztuce”? Kiedy odpowiedziałem przecząco, był jakby lekko rozczarowany.

Natomiast pewnemu wybitnemu dziennikarzowi, jednemu z 1500 w Leningradzie, było wszystko jedno, gdzie pracuje. Wystarczyło mu, że jestem z Polski, „z tej pięknej, serdecznej Polski”.

Drugie zjawisko, zupełnie z innej beczki: znacznym powodzeniem cie-



Leningrad. Widok na ulicę Chalturnina. Kanał Zimnaja Kanawka. W głębi Ermitaż

Fot. Danuta Lomaczewska

ją smykalkę do roboty społeczno-organizacyjnej i wychowawczej. Tenże aktyw bierze udział w ustalaniu planów działania pałacu, bezpośrednio uczestnicząc ponadto w pracy poszczególnych sekcji, klubów etc. Można zatem powiedzieć, że to, co się dzieje w szarym, kilkukilowym gmachu na Wyspie Aptekarskiej — wyraża społeczne oczekiwania w sferze kultury.

Są to oczekiwania bardzo zróżnicowane, rzecz zrozumiała, ich referowanie mogłoby znudzić czytelników, przywołajmy więc tylko dwie sprawy, dwa zjawiska.

Pierwsze: leningradzcy masowo uczą się języków obcych, na kursy prowadzone przez pałac uczęszcza trzy tysiące osób. Jest to zresztą tendencja ogólnoradziecka, odpowiednio stymulowana przez politykę oświatową. Nauka języków obcych trwa od V do X klasy szkoły ogólnokształcącej, na 49 milionów uczniów — 13 milionów, uczy się niemieckiego, 11 milionów angielskiego, prawie 2 miliony francuskiego. W państwach zachodnich instytucjonalne zainteresowanie nauczaniem języka rosyjskiego jest niepomierne mniejsze, w kontekście podanych wyżej liczb — właściwie żadne. W USA jeden na półtora tysiąca uczniów poznaje rosyjski, podczas gdy w ZSRR co czwarte dziecko uczy się angielskiego.

Trudno mi powiedzieć dokładnie, jak przedstawia się znajomość naszego języka wśród leningradczyków. Ci, z którymi udało mi się zetknąć, jako tako rozumieli po polsku. Według informacji pewnej osoby, która ukończyła filologię polską na uniwersytecie leningradzkim, na ten kierunek studiów stara się dość duża kandydatów: na każde z kilku miejsc i roku 15—19 osób.

szczy się w Pałacu Kultury im. Lenińskiego, działalność klubu samotnych, zwanego tam „za 30”, który umożliwia ludziom nawiązanie kontaktów towarzyskich, nierzadko prowadzących do małżeństwa. Powodzenie, jakim cieszy się ów klub, sygnalizuje wcale niebiały problem społeczny. Rozważa się go m. in. na łamach prasy radzieckiej, gdzie dochodzi np. do gorących dyskusji na temat celowości i moralnej strony zamieszczenia ogłoszeń matrymonialnych. Przeglądając gazety leningradzkie i moskiewskie, nie znalazłem inseratów o wiadomej treści.

12 tysięcy ludzi przewija się codziennie przez Pałac Kultury im. Lenińskiego, a fakt ten nie jest wcale szczególnym przypadkiem w dziedzinie upowszechniania kultury w Związku Radzieckim. Przeciwnie, jest czymś typowym (swoją wielkością), dobrze ilustrującym zarówno potrzebę uczestnictwa w kulturze obywateli tego państwa jak i skuteczności działań zmierzających do pełnej realizacji idei egalitaryzmu społecznego. To uczestnictwo wyposaża ludzi we wspólny język — kultury symbolicznej, która na co dzień umożliwia im chociażby wymianę opinii sądów i refleksji na jednym poziomie znajomości rzeczy, kształtując przy tym pewną wspólną perspektywę widzenia świata, jako że kultura, traktowana jest w Związku Radzieckim przede wszystkim jako instrument wychowawczy. A cały ten proces rozwija się metodycznie i od najmniejszych szczebli administracyjnej topografii.

OSTATNI okaz prawdziwego tarpana został zastrzelony na Ukrainie prawie przed stu laty. W Polsce ostatnie stadko tarpanów, przodków naszego konia domowego, istniało w zwierzynicy ordynacji zamojskich — w Zwierzynicy. Ale w roku 1806 ze względów finansowych Zamojscy zlikwidowali zwierzyniec, a stadko tarpanów rozdałi okolicznym chłopom. Wskutek przemieszania ras pierwotny tarpan przekształcił się w tzw. konikę bilgorajską — jak jego przodek bardzo wytrzymałego, pracowitego i mało wybrednego w jedzeniu. W roku 1936 podjęto próbę restytuowania tarpana z owych koników bilgorajskich na terenie Białowieży, obecnie prace nad restytucją prowadzi się nadal w zakładzie doświadczalnym PAN.

Z tych więc powodów sylwetka tarpana stała się emblematem Roztoczańskiego Parku Narodowego. Nawiązano w ten sposób do tradycji — ale co z przyszłością samego tarpana? Może jeszcze nie teraz, bo RPN jest zbyt mały (4800 ha), bo jego pracownicy mają na głowie wiele innych zadań — ale czy nie warto pomyśleć o tarpanie (żywym!) w perspektywie?

Roztoczański Park Narodowy jest trzynastym z kolei tego rodzaju obiektem w Polsce, istnieje zaledwie trzy lata, jest tylko o 265 ha mniejszy od Parku Białowieżskiego, ale tysiąc razy mniejszy od Parku Narodowego Leśnego Bizona w Kanadzie, największego na świecie. Rzecz jednak nie w wielkości — na „rozrzutność” mogą tu sobie pozwolić kraje o małej liczbie ludności na kilometr kwadratowy (Kanada — 2 osoby, Polska — 110) — ale w wartościach przyrodniczych. I w szansach na przyszłość.

Roztoczański Park Narodowy powstał w terenie mało zurbanizowanym, prawie całkowicie pozbawionym przemysłu, a więc tam, gdzie ingerencja człowieka w przyrodę była stosunkowo mała. Chociaż i tak nie obeszło się bez strat. W ostatnich latach, wskutek zanieczyszczenia atmosfery, zanikło dziesięć gatunków porostów i nikt jakoś nie może wytłumaczyć dystrybutorom węgla, że do tego regionu trzeba przesyłać węgla o możliwie najmniejszej zawartości siarki. Wyszła się zaś „jak leci” i rezultaty są.

Szansą jest również i to, że nasz park powstał krótko po ogłoszeniu głośnego raportu b. sekretarza generalnego ONZ U Thanta w sprawie ochrony środowiska naturalnego człowieka, w okresie, gdy w Polsce zarówno prawodawstwo jak i praktyka zaczęły zwracać szczególną uwagę na te właśnie problemy. Tak więc niemal naza jutro po ogłoszeniu rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie utworzenia RPN sporządzono wycieczny plan zagospodarowania prze-

strzennego parku i jego strefy ochronnej, a sam plan opracowała warszawska Instytut Ochrony Środowiska i obiecuje go przedstawić w całości pod koniec przyszłego roku. Plan ten określi, jakie działy rolnictwa trzeba będzie prowadzić w najbliższej okolicy parku, czy i ewentualnie jak meliorować pewne tereny, aby nie zakłócić stosunków wodnych, jak poprowadzić sieć drogową czy e-

zwiedzać Park. W tej chwili napływ nie jest jeszcze zbyt duży, chociaż zdarzają się wycieczki z drugiego końca Polski, nawet z województw tak atrakcyjnych turystycznie, jak szczecińskie czy krosińskie. Ale napływ ten będzie się zwiększał dość gwałtownie i należy możliwie najszybciej wybudować odpowiednią bazę, a jednocześnie poprzez różne ograniczenia stworzyć takie warunki,

skromny zaczątek własnej stacji naukowo-badawczej. Mijamy nadzieję, że przyrodą tego regionu zainteresują się szerzej niż dotąd uczelnie lubelskie, a także pozalubelskie. Przecież rosną tu jodły o wysokości ponad 50 metrów, 40-metrowe buki, sosny mające około 140 lat, takie rzadkie rośliny jak kilka rodzajów storczyków, czerniec gronkowy, zanokcica skalna, lilija złotogłów i wiele innych. Spośród liźnych, a rzadkich zwierząt najbardziej znany jest wąż Es-kulapa, znacznie mniej waż gniewosł plamisty (miedzianka). Ale kto z nas słyszał o takich gryzoniach, jak pilcha czy orzesznica — małe, barwne, o puszystym ogonie zwierzątko, zapadające w sen zimowy? Kto widział dość małe ptaszki o szarobrunatnym, a na piersi popielatym upierzeniu, a na piersi popielatym upierzeniu? Spotkać tu można wydrę, salamandrę plamistą, nadobniec alpejską, kruką czy pszczołojada o rozpiętości skrzydeł do 140 cm...

Jak to wszystko współżyje ze sobą w naturalnych warunkach, jakie to powoduje zjawiska na zewnątrz, co należy robić, aby tym zwierzętom, ptakom i roślinom zapewnić możliwość najbardziej naturalne warunki rozwoju — to tylko kilka problemów dla naukowców różnych dziedzin.

Drugim zadaniem parków narodowych jest prowadzenie tzw. cięć pielęgnacyjnych. Zanim powstał RPN, na jego terenie prowadzono normalną eksploatację leśną, pozyskując przede wszystkim drewno. Sadzono więc dużo sosny, bo rosła stosunkowo szybko. Wyciężono na niej żywicę. Gdy szedłem na Bukową Górę tzw. Linią Pałacową — tak zwaną, bo jako żywo żadnego pałacu tam nie było i nie ma — i zanim doszedłem do pięknego, jakby powstałego niemal naturalnie z dużych głazów pomnika leśników poległych w walce z hitlerowskim okupantem — otóż wzdłuż tej Linii Pałacowej ze zgrozą patrzyłem na częściowo odarte z kory sosny. Jakoś im to nie zaszkodziło, bo rosły dalej, ale to jakby spacer pośród ludzi bez rąk czy nóg...

Trzeba więc teraz wycinać, to co tam kiedyś posadzono wbrew naturze, trzeba „unaturalnie” przyrodę. Stąd np. w roku 1975 z RPN pozyskano, jak się to pięknie określa, 17,5 tys. metrów sześciennych drewna, prawie w całości grubizny. To jest połowę tego, co z siedem razy większego Parku Kampinoskiego. Czy jednak nie za dużo?

Dopiero trzecim z kolei celem istnienia parków narodowych jest turystyka. Ale nie ta zwykła, rekreacyjna, lecz turystyka poznawcza, która prowadzi do prawdziwego obcowania z najwyższą formą przyrody, jaką jest park narodowy. Wytoczono więc dwa szlaki turystyczne, przygotowuje się ścieżkę dydaktyczną na-

Park narodowy to nie zoo

Jerzy Dostatni

nergetyczną, jak zagospodarować turystycznie strefę ochronną wokół parku, wreszcie jaką funkcję ma spełniać sam Zwierzyniec...

W tej ostatniej sprawie wojewódzki program turystyki przewiduje, iż Zwierzyniec nie ma być miejscem wczasowym, natomiast ma zostać wyposażony we wszystko, co potrzebne jest tzw. passantom — turystom, przebywającym tu jeden, dwa, najwyżej trzy dni. A więc noclegi, szybka gastronomia, grupa wykwalifikowanych przewodników, mapy, foldery itp. Miejscowością wczasowo-uzdrowiskową ma być Krasnobród, terenyem wczasowym i dorywczej rekreacji przyszły zalew pod Izbicą. Taki plan usilnie popiera dyrekcja RPN, tak chyba zostanie ostatecznie zdecydowane i — co ważniejsze — możliwie szybko zrealizowane.

Plan ma również określić, jaka liczba turystów może jednocześnie

aby się nie powtórzyła historia parków Tatrzciańskiego czy Świętokrzyskiego, które zostały dosłownie „rozdeptane” przez miliony turystów.

W pojęciu ołbrzymiej większości naszych ziomków park narodowy istnieje po to, aby właśnie oni mogli tam wypoczywać, bawić się, wyszumieć, zostawić butelki, puszki i papierozy.

Tymczasem pierwszym i najważniejszym zadaniem parków narodowych jest utrzymanie naturalnych zespołów przyrodniczych jako żywego laboratorium dla nauki. To przecież nikt inny jak profesorowie lubelscy Dominik Fijałkowski i Tadeusz Wilgat wraz z grupą swoich współpracowników i niektórymi leśnikami przez wiele lat lamali różne przeszkody, aby wreszcie doprowadzić do utworzenia RPN.

Od początku przyszłego roku w ramach dyrekcji Parku ma powstać

Dokończenie ze str. 1

ponieważ są wyznania, które uważają kobietę za twór niższy od mężczyzny i nawet w domach Bożych wyznaczają im oddzielne, gorsze miejsca. Paweł VI nie wskazywał na to. W każdym razie powołał się na tradycję i zadawniony stan faktyczny. 27 stycznia 1977 roku orzekł ex cathedra, że jest przeciwny dopuszczeniu kobiet do stanu kapłańskiego, uzasadniając swoją decyzję słowami: *Jezus był mężczyzną, a ponieważ w kościele katolickim nigdy nie było kapłanek, nie będzie ich również nigdy w przyszłości.* Uzupełnieniem tego werdyktu było przypomnienie przez teologów, komentujących słowa papieskie, iż święty Paweł w jednym z kazań powiedział: *Kobieta powinna milczeć na zgromadzeniu. Ale — jak replikowali inni teologowie, nie mniej biegli w Piśmie Świętym, ten sam święty Paweł mówił również i inaczej: Tutaj nie ma ani Żyda, ni Greka, tu nie ma niewolnika ani wolnego, tutaj nie ma ani mężczyzny ani kobiety, ponieważ wszyscy razem jesteśmy w Jezusie Chrystusie.*

Nie jest zresztą tak, że tradycja wyklucza w kościele katolickim kobiety od pełnienia służby duszpasterskiej. W średniowieczu były wyświęcane diakonisy. Nie było też rzadkością, że przeorysze wielkich klasztorów zyskiwały rangę w kościele i społeczeństwie wyższą od biskupa, a niektórym przysłu-



Kobieta w sutannie to częsty już obraz w RFN

Fot. M. Stankiewicz

giwały wręcz arcybiskupów. I tak przeorysze z klasztoru świętej Cecylii z Kolonii zajmowały w sądach duchownych miejsce przed księżmi i miały prawo ich suspendowania. Przeoryszom z Las Huelgas w Hiszpanii papież nadał specjalną bullę przywołując zwalniająco je spod władzy biskupiej. Przeorysze z

Conversano we Włoszech brały udział w corocznej procesji przyodżiane w mitrę biskupią i przyjmowały holdownicze akty księży.

Tak było w średniowieczu. Ale i dziś jeszcze, jak łatwo sprawdzić, wśród największych w niebie, a więc świętych, są kobiety. Nawet po dokonanej w 1969 roku weryfikacji mamy w aktualnym kalendarzu świętych kościoła rzymsko-katolickiego: 140 mężczyzn (84 proc.) i 26 kobiet (16 proc.).

Analiza tego składu wykazuje, że wśród 84 proc. mężczyzn, wyniesionych na ołtarze, tylko 2 proc. to męczennicy pańscy. Reszta to przedstawiciele najwyższego kleru (apostolowie, papieże i biskupi, założyciele klasztorów, księża i diakoni). Jeżeli chodzi o te 26 kobiet, to osiem z nich nosi przydomek „dziewica” lub „dziewica i męczennica”. Dziesięć to fundatorki klasztorów, wdowy i zakonnice. Dwie — to królowe, a z trzech pozostałych wszystkie są krewnymi świętych: święta Anna jako babcia Jezusa, święta Monika jako matka świętego Augustyna i święta Marta. Ta ostatnia osiągnęła stan świętości wyłącznie ewangelicznymi zasługami (Łuk. 10. 41).

Kobieta

Mimo tego, że kobiety są wynoszone na ołtarze, a w wielu krajach kult Najświętszej Marii Panny jest dominującą formą życia religijnego, nie brak w kościele rzymsko-katolickim przedstawicieli, którzy mają dyskryminacyjny stosunek do kobiet. Na wystawie świątowej w Brukseli w pawilonie kościelnym wisiał portret Brigitte Bardot z wielkim napisem — „ZLA”. Jezuita utrzymują nadal za św. Ignacym Loyolą (1491—1556), że *szatan zachowuje się jak kobieta.* Być może, iż jest to świadome lub podświadome potępienie Ewy za skuszenie Adama do grzechu przy pomocy szatana. Średniowieczna tradycja palenia kobiet na stosach jako czarownicy wynikała niezbyt różnie z przekonania o ich związku z szatanem.

Dyskusja na temat udziału kobiet w pełnym życiu kościelnym trwa aktualnie z niezwykłym mocnym natężeniem (nawet specjalne audycje telewizyjne „Pro” i „Contra”) w kościele ewangelickim w RFN, gdzie wielkim rzecznikiem kobiet stał się organ prasowy tegoż kościoła — „Deutsches Allgemeines Sonntagsblatt”. Jak już zaznaczyłem, w RFN, Szwecji i Holandii kobiety mogą

Bukową Górę. Wycieczki powinny być prowadzone przez wykwalifikowanych przewodników — w Zwierzyńcu jest ich 40. Aby jednak obie te formy mogły być przestrzegane, trzeba wokół parku, nawet poza strefą ochronną, urządzić parkingi, może motele, postawić ławy dla odpoczynku, pojemniki na śmiecie, deszczochrony. W Parku Roztoczańskim są tego tylko skromne początki. Więc turyści pewnych rejonów albo nie zwiedzają wcale — jak np. Kamienną Górę, skąd podziwiałem przepiękną panoramę prawie całego RPN, albo biwakują gdzie popadnie, narazając siebie na mandaty, a przyrodę na niszczenie. Tak było właśnie w czasie lipcowych trzech dni wycieczki z wyjątkowo niesforną grupą z Krosnińskich Hut Szkła...

Park narodowy to nie cyrk lub ogród zoologiczny, przeznaczony do oglądania. Ponieważ żaden z naszych parków nie ma odpowiedniego zaplecza, w ostatnich latach znacznie wyciszono ich reklamę. I tak np. piękny plakat RPN jako główne hasło głosi „Chrońmy przyrodę”, a nie „Zwiedzajcie Roztoczański Park Narodowy”. Gdy takie zaplecze powstanie, propaganda będzie głośniejsza, bo przez zwiedzanie parków narodowych będziemy się uczyli poszanowania przyrody, ochrony środowiska.

Dyrektorem RPN jest mgr inż. Zdzisław Kotuła. Rodem z Kraśnika, ukończył warszawską SGGW i jako leśniczy został skierowany na staż do nadleśnictwa w Zwierzyńcu. I tu już pozostał. Wysoki, energiczny, po uszy zakochany w lesie.

Pytam dyrektora, jak decyzję utworzenia Parku przyjęła miejscowa ludność. Przecież to oznaczało, że nie można już zbierać tam jagód, grzybów czy chrustu, jak się to działo od niepamiętnych czasów. Dyrektor powiada, że wszystko poszło niespodziewanie łatwo. Poprzez prelekcje w zakładach pracy i szkołach, wyświetlanie 400 przezroczy, wreszcie indywidualne rozmowy pracowników RPN z tymi, którzy początkowo nie wiedzieli o co chodzi — przekonano ludność o konieczności ochrony Parku. Chociaż początkowo były powody, to przecież nie ukarano mandatem żadnego z miejscowych — i okazało się to bardzo dobrym środkiem wychowawczym. Dzisiaj miejscowi rolnicy, którzy z terenem samego Parku jak i z czterech razy większymi lasami go otaczającymi, żyją się od dzieciństwa, trochę się dziwią coraz liczniejszym turystom. Ale jednocześnie przekonują się, że na tej turystyce mogą zarobić. Jeszcze nie zdierają skóry z przybyszów, jak np. górale, jeszcze zimowe kuligi traktują przede wszystkim jako potrzebny koniom

spacer i pobierają umiarkowane ceny — ale jak długo to potrwa?

Przemysł odniósł się do powstania Parku bez entuzjazmu. Owe związki siarki powstają głównie w kotłowniach zwierzyńckiej fabryki mebli oraz w browarze, a ten ostatni posiada tylko mechaniczną oczyszczalnię ścieków i to za małą w stosunku do dzisiejszej produkcji. Jak na razie więc oba zakłady nie przyczyniają się, mówiąc delikatnie, do ochrony środowiska w Parku czy jego rezerwach. Może gaz, który doprowadza się z jednej strony do Zamościa, z drugiej do Bilgoraja, po przedłużeniu rurociągu do Zwierzyńca i Krasnobrodu zlikwiduje chociaż część powodów do narzekania?

Park Roztoczański, mimo, że nikomu nie przynosi dochodów, stał się dziś niemal oczkiem w głowie władz wojewódzkich w Zamościu, bo to wizytówka, którą w niedalekiej przyszłości będzie można pokazywać wszystkim. I chociaż w pojęciu prawnym nie istnieje strefa ochronna, praktycznie utworzono taki pas szerokości 4—6 km wokół Parku. Chociaż brak planu zagospodarowania, udało się już unieważnić plany melioracyjne w dolinie Wieprza, przepływającego przez sam środek Parku. Przeniesiono wysypisko śmieci dla Zamościa i Szczepieszyna, zmieniono lokalizację piaskowni oraz projektowanych ferm hodowlanych. Wojewoda najpierw przydzielił wykwalifikowanym pracownikom trzy mieszkania, a teraz buduje się dla nich blok 12-mieszkaniowy, o czym przed trzema laty zaledwie marzono. Ostatnio zaś wojewoda wystąpił do właściwych władz o dwukrotne powiększenie obszaru RPN na okoliczne lasy.

Tu — już po fakcie — popełnił małą niedyskrecję. Otóż gdy w Zamościu powstawały władze wojewódzkie, nikt tam nie orientował się, gdzie właściwie przebiegają granice Roztoczańskiego Parku Narodowego. Więc jego pracownicy zobowiązali się na kilku mapach społecznie nanieść te granice. Ale w czasie pracy coś im się pomyliło i nanieśli nie granice obszaru aktualnego, lecz według projektu docelowego. Po jakimś czasie sprawa się wyjaśniła, ale w świadomości wielu ludzi, od których zależą różne sprawy związane z Parkiem, pozostały te docelowe granice. I do nich już przystosowuje się wiele innych działań, szczególnie jeżeli chodzi o ingerencję w przyrodzie. Tak więc owa omyłka pracowników — waham się, czy tych dwóch ostatnich słów nie umieścić w cudzysłowie — spowodowała wiele dobrego. A nikt na niej nie stracił.



Fot. M. Stankiewicz

DEBIUT

Roman Łesiów

SZACHY

walka w czarno-białym krajobrazie kwadrat o ambicjach wszechświata ostatnie królestwo w którym wszyscy bronią króla

biskupem ?

być już od dwudziestu lat pastorem i proboszczami. Istnieje na nie chyba nawet duże zapotrzebowanie, skoro we wspomnianym „Deutsches Allgemeines Sonntagsblatt” w każdym numerze zamieszczanych jest po kilkanaście wielkich ogłoszeń: „Poszukuje się kobiety-proboszcza lub kobiety-pastora” (W oryginalnie — „Pfarrerin” lub „Pastorin”).

Ale jeszcze na początku lat pięćdziesiątych sytuacja była inna. W tym samym czasie, kiedy EKD rejestrowała odpływ kandydatów na studia teologiczne, oczekiwało na zatrudnienie w wybranym zawodzie 400 kobiet o pełnym teologicznym wykształceniu. I to one właśnie wszczęły walkę o pełne prawa do kierowania parafiami. Władze kości-

ciola ewangelickiego (wówczas biskup Scharff) skłonne były powierzać im jednak co najwyżej „specjalne zadania”, jak prowadzenie ochronek, zakładów wychowawczych dla podupadłych dziewcząt i domów starców. Za tę pracę otrzymywały jednak uposażenie dużo niższe od tego, które by im przypadało w przypadku sprawowania funkcji pastora, a ponadto w wypadku wyjścia za mąż (choć u protestantów nie ma celibatu) były zwalniane z pracy.

W końcu lat pięćdziesiątych, kiedy jeszcze do EKD należały gminy ewangelickie z NRD, poczęto w RFN myśleć inaczej i starać się o pozyskiwanie kobiet do krzewienia zasad ewangelii i służby kościelnej.

Rozszerzyło się to zarazem na Holandię i całą Skandynawię. Obecnie wszystkie kościoły w poszczególnych krajach związkowych RFN (landach) mają tzw. „Theologinnengesetze”, czyli ustawy o kobietach-teologach. Uchylona została także klauzula celibatu dla kobiet-pastorów. Nawet jako mężatka może ona pełnić swe funkcje w kościele i tylko z przyczyn rodzinnych może otrzymać czasowy urlop, lub pewne ograniczenie zajęć. Jedynym wyjątkiem jest Kościół Krajowy w Hesji-Nassau (stolica Frankfurt nad Menem), który nakazuje zamężne „pastorki” urlopować ze względu na nadmiar ich obowiązków rodzinnych.

Praktyka potwierdza, że kobieta-pastor potrafi pogodzić swoje obowiązki zawodowe z domowymi nie gorzej, niż kobieta innego zawodu, jak np. kobieta-profesor czy kobieta-konduktorka. Dlatego też ze strony większości gmin ewangelickich w RFN nie ma na ogół zastrzeżeń przeciwko powoływaniu kobiet na „pastorów”, „proboszczów” i „teologów”. Opory wpływają natomiast ze strony hierarchii EKD, jeżeli kobiety poczynają upominać się o stanowiska

wyższe, jak superintendentów czy biskupów. Z tej przyczyny rodzą się też zapewne przeciwdziałania, mające na celu zapobieżenie feminizacji zawodu. Obecnie w EKD na 11 826 proboszczów tylko 359 jest kobietami. Ale rośnie ciągle liczba studiujących kobiet w akademiach teologicznych. Jeżeli w 1974 roku było ich wśród studiujących teologię 31 procent, to w 1975 roku procent ten wzrósł do 45!

Nie jest więc tak odległy czas, w którym kobiety będą miały przewagę w kościele ewangelickim i wówczas w nieunikniony sposób problem — czy kobieta może zostać biskupem — nabierze rumieńców.

Na razie w całej EKD mamy tylko jedną „starszą radczynię kościelną” — „Oberkirchenrätin”. Nie ma jeszcze ani jednej superintendentki lub dziekana (wyjątkiem jest region kościelny Berlin-Brandenburg w NRD, gdzie jedna kobieta piastuje godność superintendenta).

Minimalny jest także udział kobiet w najwyższej władzy Ewangelickiego Kościoła Niemiec — w Synodzie. Składa się on ze 120 członków, ale kobiet zasiada w nim tylko 14. W Radzie Synodu na 15 członków jest jedna kobieta. W sekretariatach dyplomatycznych i w sądach duchownych nie ma ani jednej.

Droga do mitry biskupiej dla kobiet nie jest więc mimo wszystko wyszczelona kobiercem i usłana różami.

Tadeusz Kur

10 · Gott und die Welt

Chancen einer Theologin in der Gemeinde

„Wessen Pastorsfrau sind Sie?”

Zwykła pomyłka. A którego pastora jest pani żoną? (Tytuł artykułu z „D. A. Sonntagsblatt”)

Kamena str. 5

Aleksander Rozenfeld

TAK O WSZYSTKIM CO SIĘ WYDARZYŁO POMIĘDZY 30 MARCA A 8 KWIECZNIA 1977 R.

prolog

gdyby zawsze można powracać tam gdzie raz się było
sobie na przekór światu na przekór jak gdyby nie
się nie zmieniło i ani rozstań ani spotkań
prócz tego jednego rozstania prócz tego jednego spotkania
oszalały słowa tylko ich i nie wiadomo które prawdziwe
potykamy się o znaczenia i mimo jasnej sytuacji
ironicznie zaczynamy zawsze od adama i ewy

- I sobie to piszę żem niespokojny i lba do ziemi
przebrać nie umiem choćby dla ziemi poucachania
stać zapach jej znam z przecucia
- Ja nie wiem gdzie jesteś ty której ja jestem przeznaczony
i na jakim świecie na jakiej ziemi stapasz
to ciebie Bóg palcem tknął naznaczył posłuszeństwem
tyle tylko że drogi nasze jeszcze się nie zesłu
tyle tylko że uszy moje nie nauczyły się twojego głosu
- Ib jaka uroda chwila czysta nie nie żyje oprócz nas
wiatr po głowach myśli płoszy przydaloby się
pare groszy na kwiaty na niedziele na co dzień
ucieczka arzesznych nie ma gdzie uciec wszędzie znajdują
kamień podniosą
rzucą
- II ty dziesięcioletnia dzisiaj ty pięcioletnia dzisiaj
ty która się urodziłaś przed momentem
ty która się urodziłaś za lat kilka
nie uciekniesz przed miłością
i przed wuborem nie uciekniesz
ani się schować ani szukać
ten który nadejdzie
nie będzie tym ani tamtym
jeden nie żyje drugi spadł z drabiny
kto znajdzie obola ten już jest szczęśliwy
szczęśliwy kto umarł żywi wciąż są w drodze
umarli na miłą rozmawiają z nienarodzonymi
ziemia kwitnie wierszem człowiek wzbiera pięścią
życie bywa światłem bywa też przekleństwem
- III pochyl się miła nade mną wyszeptaj ci chce całego siebie
byś wiedziała że umiem nawiedzić wszystko
ja znam prawdę pewnie dlatego odsuwają się ode mnie
jak od zadżumionego wszyscy pragnący spokoju
rodzi się mały człowiek rodzi się mały człowiek
każdego wieczora i nocy jest ból nieznanomy
matki oblane krwią przez świat idący krzyk zwiastowania
będzie jeszcze jeden żołnierz będzie jeszcze jeden rolnik
jeszcze jeden przedmiot pożądań głodnych oczu
najpiękniejsza dziewczyna chodząca po ziemi
- IV nie są ważne narodziny nie jest ważna śmierć
ale czy to co pomiędzy
płują nam w twarz mówimy deszcz pada
podstawiają nam nogę naszą twarz w grymasie przepraszam
wyciągamy ręce do powitania powietrze wokół puste
pozostała nam tylko małe wygrane
drobnym piśmem zapisane stroniczki zasuszonych listów
„nie przebiegaj się, czy ci coś znów wydrukowali, czytałam”
pozostała nam tylko nasze małe wygrane
tuncet drobnych nót nie nadążających za naszymi dorosłymi krokami
i wciąż niczym nie wytłumaczone niczym niepojęte
zadziwienie ogromem świata

Jan Andrzej Gonet

dama z gronostajem białą czerni niebo
dama z gronostajem rozdała cytryny
kromką chleba rozwija drzewo
i śmieje się bruciami poprzez sny
cytryny są napojem — dolce vita
kromka chleba spala się w wiosnie
tylko dłonią nasycisz dosytnie
zagubione oczy w bruciach posmutne

BAROKOWE NIEBO

barokowe niebo zarasta latawiec
rozwiła setki wiatrów — które mgiełkę noszą
wiosny lata i zimy wszystkie pustostawie
ile tutaj złota kadzidel jałowca
mruków ziemi spalonych przegadaniem słońca
ile śmiechów opaltn na różowych dłoniach
tłuste dłonie dzieci przebiegają trawę
kiedy słońce się chyli ku jesieni ramion
gotując w pstrych sadach owocną wyprawę
każde źdźbło zielone aż po ziarno chlebne
każdy kwiatek jabłoni w posmaki owocu
każde mrużenie deszczu okowitą mgiełką
ile świadków doświadczeń dopowiedzeń ile
ziemia przecież barokiem mruży stare oczy
dopóki niebo zwane barokowym
nie będzie ziemi wodnym niemym świadkiem
w którym wszystko odbite lustrem poziomniowym
choćbyś wstąpił w ziemię

Stanisław Andrzej Łukowski

Siostrze Wirginii z zakonu Klarysek przy Placu błogosławionej Kingi w Starym Sączu —

każdy wybiera swoją drogę
jeśli znajdzie jedną

lecz czy mur przegrodzi
ciemność i światło
i czy jest
okopem farszą
przed samym sobą
szansem
powiedz

wycieczka brała krzyże i szkaplerze
niczym suweniry
w ciemnym sklepieniu
— slyszalem —
proszono o wsparcie
zza kraty opowiadałaś
historię klasztoru
w której uwieczniono nawet Adę Sarl
ktoś uparcie
wdeptywał swoje stopy
w wytartą posadzkę
aby zapamiętały
wieczny kształt kamienia
a młody poeta z pokorą
patrzył na witraże

cokolwiek byś powiedziała
te mury nie były ludzkie

siostrze Wirginio
módl się za nami
dotkniętymi wyborem

Z POEZJI BULGARSKIEJ

Damian P. Damianow

PODRÓŻNY

Walizka. Plaszczyzna. Chłód. Ach, papieros może.
Cóż więcej trzeba? Chmurki na błękitach?
Wszak cała ziemia pod moją to dworkiem,
droga jest całe me szalone życie!
Skąd wyruszyłem? Gdzie mój kres? Ja nie wiem.
Wszystko mi jedno. Przy ludziach. Przy rzeczach.
Czy może przy tej wicherury powiewie,
która świat nosi na skrzydlatych plecach.
Walizka — mała. Lecz ziemia ogromna
i w jednym sercu pomieścić się zdoła.
Plaszczyzna jest cieniutka. Lecz wiatr nieprzytomny
swymi ciepłymi rękami mnie wola.
Ranek jest stary, lecz wkrótce zaświeci —
w kamieniu, w kwiecie, w kobiecym uśmiechu.
Jesienny chłód się wkrótce stanie letni,
skra z papierosa będzie słońca echem.
Dalekie niwy, miejskie rusztowania,
spotkana chwila, miłość całą duszą,
dłonie i słowa, spotkania, rozstania,
na jeden kłębek namotać się muszą.
Będę szczęśliwy — tak jak to się zdarza,
z jedną walizką, dymkiem na błękitach,
z powtarzalnością co się nie powtarza.
Tak jak ma droga. Albo tak jak życie.



Fot. R. Sienko

Władimir Golew

POETA

I tak jak wszyscy ludzie na półkulach starych
on także nieustannie przecież gdzieś jest czynny.
Opuszcza w późny wieczór swoją kancelarię
i sam się zlewa z tłumem —

ni wielki,
ni inny.

A ci którzy nad wierszem jego cichym dyszą:
dziewczęta
te fiołki smukłopienne,
i młodzieńcy

z brodami niby liszaj —

nie patrzą nań
w kłopotach swych codziennych.

Któż by poeta poznał w tym potoku
gdzie tyle modnych dziwaków na świecie?
On smutnie słucha jesiennych uroków,
żurawia co ulata —
i sam też uleci.

Lecz wtedy gdy się innym nocą będzie śniło —
on w drżącej dłoń z zapalem pióra chwyci,
spozrzęglszy bezpowrotnie to co nastąpiło:
mgwienie, to najjaśniejsze co realnie syci.

Znowu wicher jesienny w liściach zalopocze.
Rodopczanki pleśń zaczną o wieczornej porze,
Santiago gdzieś zaszłocha,
golać zatrzepocze...

I tej chwili nikt jemu odebrać nie może.

Tłumaczył Tadeusz Ross

KAJ

czyli symbol

Dokończenie ze str. 1

Pamiętam te pierwsze, niewielkiego formatu zeszyty prowincjonalnego, jak mawiano, piśmka. Nawet pospiewano tu i ówdzie z tej prowincjonalnej inicjatywy, ukazało się parę fraszek o „Kamieniu”, przepowiadających krotki żywot takiej efemerydy z miasteczka. Nie ma co ukrywać, był ówczesny Chelmem małym miasteczkiem, bo chociaż bogato obroty w historii od XIII jeszcze wieku i bonater licznych przekazów literackich z Reymontowską broszurą, jeśli chodzi o współczesną literaturę, na czele, stanowił miejscinę z dwudziestoma paroma tysiącami mieszkańców, a dosyć spore nasilenie przemysłem, jak na owe czasy, bo i węzeł kolejowy i browarnie, cegielnie, tartaki, młyny, fabryki maszyn rolniczych, młynskich kamieni, mebli, spirytualii, nie tworzyło w nim atmosfery nadającej się specjalnie dla życia kulturalnego. I na takiej to „prowincji” nauczyciel gimnazjalny, ze szczupłej pensji, bo stan ten nie opływał przecież w dostatki, rozpoczął wydawanie czasopisma, które miało przetrwać aż do wojny, po wojnie się odrodzić, stać się symbolem nie tylko osobistej pracy twórczej, ale ważną placówką kulturalną, terenem licznych debiutów i manifestacji literackich, organem ziemi lubelskiej, Lublina, wysuwając Chelm na czoło kulturalnego pochodu miast polskich.

Cała ta epoka odeszła ze śmiercią takich właśnie ludzi, zapalenców działania kulturalnego, entuzjastów poezji, jakim był Kazimierz Andrzej Jaworski. Sam był poetą, odczuwał doskonale wszystko, co przeżywać musi poeta zagubiony w małym światku prowincjonalnym, w przedwojennej Polsce właściwie całkowicie zdominowanym przez Warszawę. Tylko Kraków bronił się skutecznie tej supremacji, inne większe miasta, jak Poznań, Wilno, porywały się na wysiłki najczęściej efemeryczne, krótkotrwałe. A tu nagle taki mały Chelmem zwyciężał, przez tyle lat umiał podtrzymać własne oblicze regionu, stać się placówką, o której było głośno w kraju. A wszystko to dzięki energii i oddaniu jed-ego człowieka!

Oczywiście, miał pomocników, których zasług, zwłaszcza Zenona Waśniewskiego, nie można przemiłczać. Ale gdyby nie całkowite oddanie się sprawie profesora Jaworskiego, „Kamena” nie dożyłaby swoich lat do wojny, nie stałaby się tym, czym była. Bo to było nie tylko czasopismo, niewielkiego formatu, zamieszczające wiersze, przekłady poetyckie, drobne notatki o wydarzeniach literackich. To była placówka kultury. Jak dzisiaj w niewielkiej miejscowości blizszy wielki neon jakiegś wytwórni, tak wtedy z małego Chelma błyszczało światło, które nazywało się „Kamena”. I nie ma w tym porównaniu przesady, to było światło, do którego zbiegały się poetyckie talenty, czasem tylko marzenia, z którym wielu młodych wtedy ludzi łączyło swe wyobrażenia o twórczości, o debiucie.

Było sporo takich debiutów i była też biblioteka „Kamena”, były liczne z nią związane akcje kulturalne — a wszystko to użyżniało ów przysłowiowy prowincjonalny grunt. Ile w tym było samozaparcia się, ile wysiłków, ile trudu! Wspominał o tej historii swego życia sam KAJ w jednym z tomów swoich uroczych, skromnych wspomnień, w których umiał pisać o sobie, usunąć się, cofnąć w piękny dystans do siebie samego, do tego, co stworzył.

Poza „Kamena” i własną twórczością poetycką, co się silnie łączyło, miał Kazimierz Andrzej Jaworski dwie pasje: przekład z bratnich literatur słowiańskich i umiłowanie przyrody. Tłumaczem był wyborynym z poezji rosyjskiej, czeskiej, słowackiej, a tłumaczył nie tylko znanych pisarzy, ale umiał wykryć niejedną wiersz, który nawet w swym ojczystym języku nie był znany. Tak samo jak wykrywał skromne talenty młodych poetów w Polsce i umożliwiał im debiut. A tą drugą pasję, umiłowanie przyrody, zwłaszcza gór, dzielił z innym, wtedy też lubelskim poetą, Tadeuszem Bocheńskim. Prowadzili oni całą wielką akcją, która wtedy wydawała się jakimś dziwowskim, wynaturzeniem, a dzisiaj możemy oddać jej cześć jako prekursorskiej akcji ochrony przyrody.

Nikt wtedy nie myślał o tym, czym stanie się przemysł dla naturalnego środowiska człowieka, bo i cóż to za przemysł był wtedy w naszym kraju! A istniały i inne niebezpieczeństwa, których nie dostrzegano wtedy. Widział je jednak taki miłośnik przyrody, jakim był KAJ. Na przykład — śmiech powiedzić! — turystyka. Tak, turystyka, której rozmiarów wtedy nie przewidywano i starano się ją rozwijać, propagować, między innymi przez udostępnianie pięknych zakątków kraju i tworzenie tam inwestycji turystyce służących. Tak było z Zakopanem, z kolejką na Kasprowy.

Posłałem jako młody, początkujący prawie poeta, wiersze do „Kamena”. Wnet otrzymałem odpowiedź od Jaworskiego: dziękuje za wiersze, będą w następnym numerze. Ale właśnie wtedy trwała budowa kolejki na Kasprowy, pojechałem, gdy uruchomiono jej pierwszy człon, na Myślenickie Turnie. Zachwyciła mnie ta budowa, uważałem ją za słuszną, napisałem w krakowskim piśmie entuzjastyczny artykuł. I zaraz potem dostałem list od Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, list utrzymany w bardzo uprzejmym tonie, niemniej stanowczym: cofa swą obietnicę wydrukowania moich wierszy w „Kamieniu”. Czasopismo to bowiem broni przyrody, jest przeciwne budowie kolejki, która niszczy oblicze Tatr, ułatwia penetrację w ich wnętrzu ludziom niepowołanym, nie miłośnikom przyrody, jej piękna, jej ciszy, ale hałaśliwej turystyce — nie jest więc rzeczą możliwą, by na łamach „Kamena” ukazały się utwory kogoś, kto pochwała barbarzyństwo, tak, takie było w tym liście określenie, barbarzyństwo budowy kolejki.

Bardzo żałuję, że ten list od Kazimierza Andrzeja Jaworskiego nie dochował się w moich zbiorach. Był jakże charakterystycznym obrazem epoki, gdy budowa kolejki linowej wywołać mogła tak gorące zaangażowanie! Był zarazem świadectwem dalekowidztwa lubelskiego miłośnika gór, bo przecież dzisiejsze alarmy o „zadeptywaniu Tatr”, o ginącym ich świecie, o niszczeniu parku narodowego, są jedynie dalszym ciągiem tego, co wtedy się zaczynało.

Tak się złożyło, że raz tylko, po wojnie, zetknąłem się z KAJ-em, w Lublinie, podczas ogólnopolskiego zjazdu literatów w dwudziestolecie Polski Ludowej. Wspomnieliśmy sobie wtedy i ten incydent — z miłym uśmiechem rzekł wtedy Jaworski: „No i kto miał rację?” Żałuję, że nie miałem okazji na ten temat i na wiele innych, związanych z poezją, z kulturą, porozmawiać z tym poetą, który był symbolem odeszłej, chociaż nie tak dawnej przecież, epoki.

Wtedy, na tym zjeździe, też nie wiele było czasu: na oddzielne pogawranki, program, dwu czy trzydni-

wych obrad był bardzo szczelny, godziny poza obradami wypełnione zwiedzaniem miasta, spotkaniami autorskimi. Jaworski był już wtedy „starszym panem”, chyba już kwękał trochę, bo zrobił na mnie wrażenie człowieka zmęczonego. Nie pierwszy to był kontakt z KAJ-em, gdyż wnet po wojnie nawiązaliśmy korespondencję, dawna animozja przemieniała, drukowałem w odrodzonej „Kamieniu” i sieniłem parę utworów Jaworskiego, także jego przekładów, na tamy krakowskie. Pisał do mnie kilka razy, mam te listy, n. p. z 17 marca 1946 roku — zamówiłem u niego jakiś materiał o tatrzańskich grotach. „Niestety — pisał — z grot nic nie będzie, są one właśnie luką w mojej znajomości Tatr. Zawsze obiecyuję sobie ją wypełnić, ale szczyty więcej nega od dziur. Ale napiszę dla Pana spe-



Kazimierz Andrzej Jaworski

piękniejsze na świecie”. Tak pisał o nich Iwaszkiewicz w „Pejzazach sentymentalnych” i z pewnością miał rację.

Najpiękniejsze na świecie. Przecież są góry o wiele wyższe i dzięsze, szczyty o kształtach tak wspaniałych jak alpejski Matterhorn czy karakorumski Mustagh Tower. Znam je tylko ze świetnych fotografii Vittoria Selli, podziwiam ich piękno, ale są mi obce. Obce nie tylko w znaczeniu dosłownym, jako że nieznam. Na pewno pozostałyby mi obce, gdybym się z nimi zetknął bezpośrednio. Bo kompleks gór jest we mnie właściwie kompleksem Tatr. Dlaczego, o tym pisałem już poprzednio.

Tylko że Tatry są tak małe. Tylko że schroniska są w nich przepełnione. Tylko że wyprawa do ich części słowackiej jest z tego względu dość iluzoryczna. Tylko że wchodzić się często pseudoturystami: zaśmiecają Park Narodowy, niszczą jego florę i krzykiem macą spokój górski. Coraz trudniej o zakątek, w którym można by się znaleźć sam na sam z naturą. Po Gorganach wędrowałem kiedyś przez cały dzień, na olbrzymiej przestrzeni nie napotkawszy dosłownie nikogo. Dzisiaj może przydarzyłoby się to w Bieszczadach. Ale w Tatrach? Chyba gdzieś w Dolinie Waksmundzkiej, w cyrku nad Wantulami, w Jarzabczej cyrku w Starej Robociej. Ale i tam o to niełatwo.

Powiecie: pięknoduch. Przypomniacie: socjalizm i masę. Zawołacie: góry dla wszystkich, nie tylko dla wybrańców. Zgoda. Ale pozwólcie tu przytoczyć autorytatywne zdanie: „Przed wszystkim lubię w Tatrach spokój odludzia... Nie ma nic wspanialszego nad ten pobyt w czarnodzijskim świecie wysokich gór z dala od ludzkiego rojowiska... Tymczasem zbliża się chwila... gdy po wygodnych ścieżkach gnusne leniuchy wdzierać się będą do przybytków, które otwierały się dotychczas jedynie przed tym, kto sobie dostęp do nich wywalczył w twardym trudzie”. Co to za pięknoduch pisał tak już w r. 1911, kiedy sprawa „przełudnienia” Tatr nie była jeszcze tak palącą? To w „Szkicach o Tatrach” Julian Marchlewski, przywódca klasy robotniczej.

I mimo woli zazdrości się czasem Chatubińskiemu i z rozrzewnieniem czyta się jego „Sześć dni w Tatrach” czy Rajchmana „Wśród białej nocy” albo klasyczne Witkiewiczowskie „Na przełęcz”. Bo choć to nieraz bywały i wałne wyprawy, ale Tatry były puste, a szczyty czekały na zdobywców.

Karłowicz apelował w swoim czasie: „Sznujcie ciszę i majestat gór”. To wezwanie jest dzisiaj jeszcze bardziej aktualne niż przed pięćdziesięciu czterema laty. A chodzenie po górach z grającą „Szarotką”, którą kiedyś słyszałem na Hali Strażyskiej, powinno być wzbudzone i karane wysoką grzywną tak samo jak zrywanie autentycznych szarotek.

„Kamena” 1960, nr 10/16

Witold Zechenter

GÓRY

Kamena str. 7

2 września lubelskie gazety na pierwszej stronie opublikowały oświadczenie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej do narodu: *Nieprzyjacieli u wrót Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wybijając wyrzuciście w tekście słowa: W obecnej chwili istnieje tylko Polska! Nie ma nic ważniejszego! Dla Niej życie, dla Niej wszystko, czego żąda! Nie poskąpimy krwi!*

Tego samego dnia niemieckie eskadry zaatakowały Lublin. Początkowo atak skupił się na Lubelskiej Wytwórni Samolotów. Wywołał on panikę wśród załogi. Rozbiwszy słabe punkty oporu obrony przeciwlotniczej (gniazda karabinów maszynowych) bombowce z niskiego pułapu zrzucały bomby i ostrzelały z karabinów maszynowych uciekających robotników, zabijając lub raniąc 200 spośród nich. Następnie obrzucili bombami robotniczą dzielnicę miasta — Dziesiątą. Szczególnie ucierpiały ulice: Topolowa, Kwiatowa i Szańcowa. W tym też dniu dwa ciężkie ataki lotnicze przeżyło lotnisko wojskowe położone w pobliżu wsi Gołąb k. Puław. Oprócz strat materialnych zginęło 13 kobiet piorących w pobliskiej rzeczce bieliznę.

Wiadomość o rozpoczętej wojnie dotarła do wszystkich zakątków regionu bardzo szybko i postawiła w stan gotowości i alarmu wszystkie oddziały wojskowe, organizacje paramilitarne, urzędy, instytucje, harcerzy, szpitale i ogromne rzesze patriotów. Zaroilo się w działających od połowy sierpnia w każdej większej miejscowości biurach mobilizacyjnych. W przyspieszonym tempie dokonywano poboru koni, taborów i żywności. We wsiach poczęto z nie podlegających poborowi rezerwistów formować uzbrojone w „białą broń” Warty Gminne, w miastach — Straże Obywatelskie i Drużyny Wartownicze. Tym ostatnim powierzono ochronę magazynów, ważnych obiektów a także podzielone na kilometrowe odcinki torw kolejowe oraz linie wysokiego napięcia. Przy wszystkich zabudowaniach, budynkach i większych skupiskach poczęto budować schrony przeciwlotnicze. Wysilek społeczeństwa był ogromny, spontaniczny i w tej fazie skoordynowany. Wiadomości, które poczęły jednak napływać (drogą radiową, telefoniczną, a także poprzez pierwsze fale uciekinierów z Zachodu), nie były pocieszające. Wszystkich deprymowały złowrogo brzmiące komunikaty radiowe o zagrożeniu lotniczym (*Uwaga, uwaga KO-MA-35 nadchodzi...*), o zbombardowaniu historycznych miast i wreszcie o odwróceniu wojsk polskich.

Jeszcze 3 września doszło w Lublinie (a także w niektórych miastach powiatowych) do spontanicznych i radosnych manifestacji na wieść o wypowiedzeniu Niemcom wojny przez Anglie i Francję. *Miasto w jednej chwili udekorowano flagami. Nasz strój bardzo podniósł* — na gorąco notował w swym dzienniku znajdujący się wówczas w Lublinie Z. Klukowski.

Jednak tego samego dnia, o czym szerokie kręgi społeczeństwa Lubelszczyzny jeszcze nie mogły wiedzieć, jednostki z XVI korpusu niemieckiej 10 armii rozbiły północne skrzydło armii „Kraków”, zdołały osiągnąć Kamieński i bezpośrednio zagroziły Kielcom.

Wódz Naczelny, marszałek E. Rydz-Śmigły, wobec przegranej bitwy granicznej wydał improwizowany rozkaz wycofania zagrożonych odcinkiem jednostek za Wisłę i San oraz przystąpienia do tworzenia osłony środkowej Wisły. Rozkaz w tej sprawie brzmiał: *1. Zorganizować obronę Warszawy od południa. 2. Zorganizować obronę mostów i przejść na Wisłę od Modlina wyłącznie do Sandomierza włącznie... Do wykonania tych zadań użyć „kalkulnych garnizonów i 2 Brygadę Zmotoryzowaną, która ma przejąć mosty: Kozienice, Deblin, Puławki, Solec, Sandomierz. Punkt ciężkości: rejon Deblin — Puławki. Z tą chwilą obszar między Wisłą a Bugiem zmienia w zasadniczy sposób swoje przeznaczenie. Z „obszaru tyłowego” stał się w pełni „operacyjnym”. Praktycznie*

nikt do tej pory takiego rozwoju sytuacji nie przewidywał (w polskim sztabie de facto nie było planu działań na wypadek przegranej bitwy granicznej) i dlatego ta nagła zmiana wywołać musiała poważne implikacje, zamieszanie oraz konieczność podjęcia błyskawicznych działań. Nim daly one o sobie znać, szerokie kręgi społeczeństwa zostały zbulwersowane wydarzeniami, które miały miejsce bezpośrednio w ich regionie. Należały do nich przede wszystkim niemieckie operacje lotnictwa niemieckiego oraz napływ ogromnej fali uciekinierów z zachodu, a później z Warszawy. Wobec niemieckich bombowców lubelskie miasta, linie komunikacyjne, lotniska, magazyny były niemal bezbronne. Gdzie niegdzie tylko (np. w Lublinie) umieszczono nieliczne działka i karabiny przeciwlotnicze. Uderzenia zaś niemieckie były bezwzględne i nie liczące się z niczym. 3 września 9 samo-

politykowie gospodarze mówili, 12 „szwab dostanie tak, aż za nim pókurzy...” Pamiętający ostatnią wojnę świąteczną mówili, że wojna nie jest straszna dla ludzi cywilnych, dlatego wszyscy tłumnie wylegli na drogę i pola obserwując srebrne samoloty bombowe, które już od pierwszego dnia napelniały powietrze złowrogim warkotem motorów. Na drodze prowadzącej na wschód ukazywały się coraz to większe grupy uciekinierów z tobołami, walizkami, którzy rozsiwiali hiobowe wieści o Niemcach, rzeziach, mordach dokonywanych na niewinnych, obcinaniu nosa, uszu, rąk, języka. Wszyscy słuchali, kiwali głowami, ale nikt nie wierzył. Toteż, gdy 8 września wypadł jak zwykle odpust w pobliskim mieście na święto Matki Boskiej Siewnej, wszyscy udali się do kościoła nie zważając na ogólny ruch wojsk i uciekinierów. Na rynku przed kościołem panował, jak zwyk-

rewolwerem w ręku usiłowałem skierować żołnierzy do koszar Piłsudskiego do komendy garnizonu, zaś policjantów do naszej komendy powiatowej, gdzie nadkomisarz Suroboda miał z mego polecenia formować kompanie PP. Ale gdzie tam! Tu zatrzymani niktłi gdzieś dalej, byle na wschód, byle za Bug... Wielu z tych „Flüchtlingów”, jak ich nazwał okupant w samym Zamościu postradało życie, które pragnęli unieść, uratować. Jakaż to okazja do „pomyłek” dla nieprzyjaciela, do brania tłumów za cofające się wojska. Świadczy o tym przydrożne mogiły i trzy podłużne kurhany na cmentarzu zamojskim. Kilkadziesiąt osób z zachodu zakończyło swoją wędrówkę w dniu 9 września podczas wielkiego bombardowania naszego miasta...

A oto jeszcze jedna relacja naczelnego świadka tych wydarzeń. Dziś Lublin wygląda wręcz przynębiająco — zapisał w swym dzienniku 7 września Z. Klukowski. — Wszystkie ulice, zwłaszcza główne, zatłoczone samochodami najrozmaitszych marek i typów. Walizki i toboły nie tylko wewnątrz, lecz i na dachach, na zderzakach, na błotnikach, na maskach... Stacje benzynowe w obłożeniu, lecz już mało kto dostanie tu trochę benzyny. Składy wojskowe wydają benzynę, lecz wyłącznie posiadającym odpowiednie zaświadczenia. Kolo tych składów widziałem olbrzymi sznur wozów posuwający się z dwóch stron. Często wytwarzał się w tym miejscu taki zator, że żaden samochód ani furmanka nie mogły się ruszyć. Widziałem też niejednego samochód ciągnięty kołami. Ewakuują się z Warszawy ministerstwa. Dygnitarze z rodzinami, ministrowie, wyżsi wojskowi, korpus dyplomatyczny — wszyscy pedza na wschód i na południe. Przy wielu samochodach chorągiewki państwowe. Ucieka elita, wnosząc niestłuchane zamieszanie graniczące z paniką, udzielającą się coraz szerszym warstwom społeczeństwa...

A oto jeszcze jedna charakterystyczna relacja chłopca z regionu lubartowskiego na ten temat: *Widząc dezorganizację oraz bezładne cofanie się armii naszej, jak również wędrówkę elity za Bug zaczęto obmyślać plan organizowania straży obywatelskiej. Straże te miały składać się z chłopów uzbrojonych w kosy i inne narzędzia ostrej pracy rolnika, zatrzymujących pojazdy i ładnie polyskujące limuzyny wraz z dobrze utrzymanymi mężczyźnami i formować z tego oddziały przeciwko śmiąłemu kroczącemu wrogowi. Do urzeczywistnienia tego śmiałego planu nie doszło z powodu zamieszania w ogólnej sytuacji. Szczególnie przynębiające wrażenie wywołało przybycie na Zamojszczyznę w nocy 6 września Prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Jak wynika z zachowanych relacji, 5 września, gdy zapadła decyzja o ewakuowaniu władz z Warszawy, natychmiast wyjechali do Krasnobrodu dla przygotowania tymczasowej siedziby urzędu Prezydenta pracownicy kancelarii wojskowej i członkowie Straży Zamkowej, którym przewodniczył gen. Schally oraz szef kancelarii cywilnej min. Lępkowski. W nocy z 5 na 6 września pociąg specjalny z Prezydentem szybko przejechał Lublin i zatrzymał się w Zawadzie, skąd przybyłych przewieziono zarekwirowanymi autobusami do majątku Fudakowskich w Krasnobrodzie. Rano 6 września na tę stację przybył olbrzymi transport urzędników i pracowników kancelarii Prezydenta liczący ok. 800 osób (wraz z kobietami i dziećmi). Tych mimo protestów skierowano na teren gminy Suchowola. Wkrótce po tym, jak stwierdził starosta zamojski przybyły następnie właściciel departamentu M.S. Wojsk, nota bene bez kwatremistrzów, bez żadnych informacji lub wskazówek. Wszystko musiał wiedzieć starosta, przed którym zachowywano się ściśle tajemniczo co do nazwy danyh urzędów. Znalizmy bowiem tylko numery, o których przybywający nie byli powiadomieni. Departamenty miały rozkwatrować się i rozpocząć normalną pracę. Cóż z tego? Szwabowie zjawili się, ale zamiast aut z aktami widzieliśmy samochody wypełnione kobietami i dziećmi. Niemcy zlokalizowali wkrótce nowe siedziby władz i skierowali na nie cięż-*

WRZESIEŃ 1939



Niemieckie bombowce nad Warszawą. Wrzesień 1939

Fot. Archiwum

lotów zaatakowały, na szczęście bez większych efektów, Zamość. 4 września od ataków ucierpiały liczne miejscowości położone wokół linii kolejowej Deblin — Łuków oraz sam Łuków. 6 września ciężkiego nalotu doznał Krasnobród...

Ponadto bombowce niemieckie atakowały liczne cele „pojedyncze”, kolumny uciekinierów, zgrupowania wojsk, a także nawet pojedyncze osoby pracujące w polu. Wszystkie te ataki wytworzyły, szczególnie w miastach, psychozę zagrożenia. *Na mieszańców padł strach przerażenia* — relacjonował starosta zamojski. — *Matki z dziećmi poczęły rozpiesznie wyprowadzać się na wieś, a za nimi pociągali co tchórzliwi mężczyźni. Drugim zjawiskiem, które wywołało poważne implikacje, był właśnie paniczny exodus dziesiątków tysięcy ludzi z zachodu. Zatłoczyli oni już w pierwszych dniach wojny biegnące na wschód i południe szosy, dworce kolejowe, a później na skutek zatorów i ataków lotnictwa niemieckiego fala ta rozpełzła się do odległych od trasów wsi i kolonii. Reperkusje związane z tym zjawiskiem były różnorakie. Kiedy we wrześniu 1939 roku — wspomina mieszkaniec wsi Zofijówka położonej niedaleko od Janowa Lub. — *wybuchła wojna, nikt we wsi nie wierzył, że taki przybierze obrót. Wszyscy wierzyli, że jesteśmy „zwarczi, silni, gotowi”, a starsi roz-**

le na odpuszcę, niezwykle ścisł i ciżba. Aż tu nagle jak zaczęły samoloty bić z karabinów maszynowych, sypać bombami w największą ciżbę ludzi cywilnych... Od tej pory zaczęto dopiero myśleć o wypadkach wojennych. Wszyscy na gwalt zakopywali do ziemi zboże, ubranie, rowery, narzędzia gospodarskie, meble wynosili w pobliskie łąki, z dala od wsi. O rozmiarach i ocenach ruchu uciekinierów charakterystyczne zdania napisał tuż po wojnie b. starosta zamojski. Ocenil on, że w ciągu 12 dni wojny przez Zamość przejechało ok. 30 tys. aut z uciekinierami. *Z autami wozy — pisał on — za wozami rozczerzysci, wreszcie falangi pieszych. Uciekali ludzie, którzy pod karą śmierci nie powinni byli opuszczać swoich stanowisk. Spotkałem znajomych lekarzy, dyrektorów szpitali, profesorów uniwersytetów, prezydentów miast, burmistrzów miast, strażę pożarną wraz z taborami, dyrektorów gazowni, inżynierów drogowych... Chyba obłęd ogarnął wszystkich. Tysiące opuściło Śląsk, jakby naumyślnie: zapewne Niemcy bardzo byli zadowoleni, że w tak prosty i niekłopotliwy sposób ubyło Polaków z tak cennyh dla nas terenów górnośląskich... Nie brakło także policji polskiej, która również nie zapomniała ciągnąć za sobą nawet stare babie i stosy betów lub części urzędów domowych. Już dłużej nie mogłem patrzeć spokojnie. Z*

Przebiegłym czytelnikom Czechowicz znany jest jako awangardowy poeta okresu międzywojennego. Bardziej wtajemniczeni przypominają sobie, że pisał on także wiersze dla dzieci, do których zresztą powracają ostatnio edytorzy. Jednakże prozatorskie poczynania tego poety na niwie literatury dziecięcej zostały dziś zupełnie zapomniane. Utwory te, drukowane w czasopiśmie międzywojennym, nieznanie są nie tylko ich właściwym adresatom — lecz również pomijane przez krytyków i historyków literatury.

PROZATORSKI dorobek Czechowicza, zarówno w zakresie twórczości dla dorosłych, jak i dla dzieci jest skromniejszy od jego osiągnięć poetyckich. W twórczości dla dzieci ogranicza się pisarz do opowiadań, zamieszczanych wredagowanym przez siebie „Płomyku” i „Płomyku” oraz w krakowskim „Czasie”. Utworów tych powstało około czterdziestu.

Zanim podejmiemy próbę omówienia podstawowych elementów i form językowo-stylistycznych tych utworów, spróbujmy sproblematyzować ich tematykę, wyodrębnić motywy treściowe mające wpływ na dobór i kształt materiału fabularnego.

W Czechowiczowskiej prozie dla dzieci dominuje epika współczesna. Drugą grupę stanowią utwory wchodzące w zakres epiki historycznej, natomiast najmniej licznie reprezentowana jest epika fantastyczna.

Opowiadania o tematyce obyczajowej, poruszają różnorodne problemy z życia małych bohaterów. Tematy najczęściej związane są ze środowiskiem szkolnym, z problematyką przyjaźni i koleżeństwa („Tomkowa kolej”) oraz ze środowiskiem rodzinnym, kształtującym postawę i charakter dziecka. Życie w rodzinie — bliski kontakt z matką i ojcem, którzy często stanowią idealne wzory osobowe dla małego bohatera — uczy szacunku i przyjaźni, sprzyja wychowaniu w klimacie wzajemnej pomocy i miłości rodzicielskiej. Opowiadania poświęcone tej tematyce („Brama”, „Pomoc”, „Ojciec Marysi”, „Najlepsza w świecie”) przeznaczyl autor zarówno dla młodszych, jak i starszych czytelników.

Obok życia szkolnego i rodzinnego tematem wielu utworów jest także pozaszkolne życie rówieśnicze, zajęcia w grupie, zainteresowania, zabawy i przygody dzieci w środowisku wiejskim i miejskim („Józik zginął”, „Przygoda”, „Nocna warta”, „O rowie i kuźni i co było później”, „Na półkolonii”, „Kąpiel”, „Deszcz pada”, „Na szosie”, „Na drodze”, „O bałwanku i o sankach”, „Ryby i ryby”, „Na targowisku”). Powyższe trzy kręgi tematyczne dominują w opowiadaniach obyczajowych. Pisarz przeważnie sytuuje akcję w środowisku wiejskim.

Tematyka przygodowo-podróżnicza, która fascynuje dzieci w tym samym stopniu, co obyczajowa, nie pojawia się w czystej postaci. Natomiast wiele powiadań można sytuować na pograniczu literatury obyczajowo-przygodowej, bowiem opisywaliśmy życiu dzieci towarzyszy często element pasjonującej przygody. Tak dzieje się w opowiadaniu „Przygoda”, w którym młodzi bohaterowie — Romek i Wladek — staczają morderczą walkę z wodą i własnymi możliwościami, ratując małą Marcysię od śmierci w nurtach Wisły. Podobnie w opowiadaniu „Nocna warta” (o harcerskim obozowym życiu) mały bohater Teos przeżywa niesamowite nocne przygody. Ow motyw obozowej nocy — znany z wierszy dla dzieci — wyzwalającej dziecięcą wyobraźnię transponuje tym razem poeta w epicki, fabularny kształt.

Problematyka obyczajowa i obyczajowo-przygodowa nie wyczerpuje tematyki opowiadań. Należy wyróżnić jeszcze kilka utworów o tematyce historycznej, przyrodniczo-zwierzęcej i bajkowo-fantastycznej.

Świat przyrody — stanowiący drugą obok życia dzieci sferę zainteresowań małych czytelników — stał się tematem kilku opowiadań. Autor posługuje się w nich typową dla dziecięcej psychiki metodą antropomorfizacji, czyniąc bohaterami zwierzęta („Noc Burka”) lub zjawiska przyrody („Co obłoczek widział”) i przypisuje im moc myślenia i przeżywania.

Problematyka historyczna pojawia się w dwóch opowiadaniach — bierzemy pod uwagę utwory czysto literac-

kie, pomijając okolicznościowe pogadanki-powiaści. W „Narodzinach Gniezna”, legendarnej opowieści o założeniu tego grodu przez księcia Lecha, pisarz za pomocą prostej fabuły oraz kilku baśniowych rekwizytów (biały rumak, dzbany „złotego miodu”) stara się zachować oddziaływanie na wyobraźnię małego czytelnika klimat legendy. Natomiast w „Historii Joanny d'Arc”, przeznaczonej dla czytelników starszych, autor wykorzystuje prawdziwe wydarzenia związane z działalnością francuskiej bohaterki.

Na tym właśnie wyczerpuje się problematyka literacka opowiadań dla dzieci. Należy jeszcze poświęcić parę

czyniąc z niej dominantę kompozycyjną („Nocna warta”).

Mając na uwadze właściwości psychiki i zainteresowania młodych czytelników, pisarz aktywizuje ich postawę przez odpowiedni dobór materiału fabularnego. Wprowadza motywy zdolne oddziaływać na sferę przeżyć i wyobrażeń dziecięcych, np. personifikując świat przyrody („Co obłoczek widział”, „Noc Burka”), czy też tworząc klimat kolorowego jarmarku (w rymowanym opowiadaniu „Na targowisku”). Specyfice zainteresowań małych czytelników odpowiada także konstrukcja postaci, bowiem aktywnymi bohaterami utworów czyni pisarz przeważnie dzieci. Najczęściej rolę głównego bohatera powierza Czechowicz jednemu, bądź dwojgu (rzadziej trojgu) dzieciom, czasem pewnej grupie, tworząc bohatera zbiorowego. („Muzykant dużej Zosi”, „O rowie i kuźni i co było później”, „Na półkolonii”, „Na drodze”). Mimo że jednolita forma opowiadania nie sprzyja wprowadzeniu postaci drugoplanowych i epizodycznych, nie wszyscy bohaterowie Czechowicza pełnią rolę pierwszoplanową. Obok bohaterów głównych (których losy są ośrodkiem zainteresowania pisarza) pojawiają się sporadycznie postaci uboczne i epizodyczne, których działania nie mają wpływu na rozwój ukazanych zdarzeń.

Wspominajmy jeszcze o nielicznych utworach, w których bohaterami są zwierzęta i zjawiska przyrody. Należą do nich opowiadania: „Co obłoczek widział”, „Mruczek — bohater” i „Noc Burka” oraz bajka „Napad” — o kogucie, krowie, koziołku i prosiaku. Najciekawsze pod względem kompozycyjnym jest opowiadanie „Noc Burka”.

Konstruując postaci i sytuacje fabularne, pisarz zazwyczaj dokonuje szeregu zabiegów wartościujących i twarży bohaterów negatywnych i pozytywnych. Natomiast w opowiadaniach Czechowicza nie spotykamy postaci negatywnych. Są tylko bohaterowie reprezentujący te postawy moralne, które pisarz aprobuje i uważa za godne naśladowania. Zjawisko to można tłumaczyć wychowawczą funkcją opowiadań.

W zakresie epickich form językowo-stylistycznych — a więc narracji i wypowiedzi — omawiane utwory nie przynoszą nowatorskich rozwiązań. W prezentowaniu fabuły pisarz wykorzystuje przeważnie czas przeszły, bądź teraźniejszy. Posługuje się także opisem jako formą prezentacji elementów statycznych. Przewaga elementów opisowych, dotyczących głównie tła zdarzeń i przyrody, daje się zauważyć w opowiadaniach, w których dominantą kompozycyjną jest nastrój („Muzykant dużej Zosi”, „Nocna warta”).

Zwraca także uwagę nasycenie opowiadań dialogami, które spełniają szereg istotnych funkcji. Są one przede wszystkim podporządkowane zasadzie plastycznego przedstawiania świata i ludzi, posuwają naprzód zdarzenia fabularne, zastępując w ten sposób pewne partie narracji, co daje większą bezpośredniość przedstawienia.

Na zakończenie spróbujmy określić cechy i tendencje wyróżniające prozatorski dorobek Czechowicza. O ile w poezji tendencje te są wyraźne i łatwe do wyodrębnienia — to w utworach epickich nie są one tak uwydatnione.

Porównanie poezji i prozy dziecięcej Czechowicza ujawnia stałe zainteresowanie pisarza pewnymi tematami. Nie trudno bowiem odnaleźć w opowiadaniach znane motywy poetyckie, np. motyw matki („Najlepsza w świecie”), prowincji („Ziemia wieszka i woda”, „Leśny kraj, wodny kraj”), „Józik zginął”, „Ziemia Lubelska”), przyrody („Co obłoczek widział”, „Deszcz pada”, „Muzykant dużej Zosi”, „Ryby i ryby”), następnie dziecięcej przygody i zabawy („Nocna warta”, „Przygoda”, „O bałwanku i o sankach”), czy interesujący motyw snu i księżycy („Noc Burka”).

Nawiązanie do tradycji ludowych, związki z wsią i folklorem — tak charakterystyczne dla poezji Czechowicza — uwidaczniają się również w jego epice, zwłaszcza w opowiadaniach o tematyce wiejskiej. W ramach stylizacji ludowej wprowadza pisarz elementy ludowej, litewskiej obyczajowości, gwary a nawet przysłówki.

Funkcje opowiadań ograniczył Czechowicz do przekazywania treści wychowawczych i poznawczych. Te ostatnie realizują zwłaszcza powiaści i pogadanki okolicznościowe.

Pisarz wychowuje swych czytelników, ucząc ich właściwych reakcji emocjonalnych wobec otaczającego świata i ludzi. Niektóre z opowiadań nie oparły się jednak wyraźnemu moralizatorstwu — co przyczyniło się do pewnego schematyzmu i wyraźnego obniżenia ich wartości artystycznych.

Jakie wnioski nasuwają się z dokonanego przeglądu Czechowiczowskich opowiadań dla dzieci? Wydaje się, że pod względem bogactwa treści i walorów wychowawczych opowiadania te dorównują zdobyczom literatury dziecięcej nie tylko okresu międzywojennego — lecz także doby współczesnej. Podobnie ze względu na kreacje bohaterów (pogłębione znajomości psychiki dziecięcej) niektóre utwory zasługują na wyróżnienie. Jednakże pod względem nowatorstwa artystycznego nie stanowią większych wartości, kontynuując tradycyjne sposoby i formy wypowiedzi epickich. Ale nie to zadecydowało o naszej ocenie tych utworów. Przede wszystkim wystraszając z konkretnych warunkowań historycznych okresu międzywojennego nie wykroczyły poza tę epokę. Tkwiąc w atmosferze społeczno-wychowawczej, ideowej i obyczajowej tamtych czasów — dla dzisiejszego czytelnika są anachroniczne, nie wchodzą w zakres jego zainteresowań. Dlatego — przypominając ów prozatorski dorobek Czechowicza — można po prostu na krytycznym jego omówieniu, mimo że zabrzmi to surowo, nie wydaje się konieczna jego popularyzacja wśród dzieci.

DZIECIĘCA PROZA JÓZEFA CZECHOWICZA

Anna Wojciechowska

ogólnych uwag dotyczących wspomnianych pogadanek-powiaści i artykułów okolicznościowych. Znaczną część tych utworów poświęca autor tematyce historycznej, przypominając dzieciom przeszłość Polski: od bardzo dawnej — walk Mieszka i Chrobrgo o Wielkopolskę, czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, powstania listopadowego — po tę nowszą, związaną z niedawnymi przeżyciami wojennymi.

Dużo miejsca w tej specyficznej „publicyście” dziecięcej zajmują utwory o tematyce geograficzno-krajoznawczej, poświęcone Litwie („Leśny kraj, wodny kraj”, „Republika Litewska”), okolicom lubelskim („Ziemia Lubelska”), ziemi śląskiej („Czarny kraj”) — a nawet Londynowi („Największa stolica”). Poznawczy charakter tych bogatych w szczegóły opowiadań i artykułów nie przeszkadza autorowi-poezie w nasyceniu ich swoistym liryzmem.

Omawiana grupa utworów okolicznościowych dopełniają krótkie, propagandowe opowiadania z kręgu tematyki „obywatelsko-państwowej”.

Kończąc powyższe uwagi dotyczące tematyki prozatorskich utworów Czechowicza przejdźmy do ich analizy literackiej.

Gatunkowym wyznacznikiem tych opowiadań jest ich jednolitość fabularna — jednolitość. Niejednokrotnie są one bardzo krótkie, nie rozbudowują fabuły. Ta jednolitość wydarzeń fabularnych powoduje w kilku utworach pewne uproszczenie, ograniczenie akcji do niewielu drobnych zdarzeń, bądź jednego motywu. Dzieje się tak zwłaszcza wówczas, gdy autor kładzie nacisk na inne niż fabuła elementy konstrukcji przedstawianego świata, np. nastrój bohatera, funkcję poznawczą lub wychowawczą („Muzykant dużej Zosi”, „Kąpiel”, „Jak to było z podpłomykiem”, „Na przejeździe”, „Kolej”, „Deszcz pada”). Natomiast w kilku utworach Czechowicz podejmuje próbę skonstruowania rozbudowanej fabuły,

MINUTA MYŚLENIA

Barwy Guci

MOJ znajomy, który czyta bez mała wszystkie czasopiśma, powiedział mi, że w sierpniowych „Barwach” dostało mi się przez felieton „Chodzi o slogan” („Kamena” nr 13). Muszę wspomnieć o znajomym, ponieważ nie chcę, by tych kilka słów przyjęto za mistyfikację, a „Barw” z własnej ochoty nie czytam. Tym razem musiałem odstąpić od zasady, aby zażądać się z druzgocącym ciosem, który w rubryce „Z prasy społeczno-kulturalnej” tego miesięcznika otrzymałem.

Zanim jednak pod wpływem ciosu rozpadnę się w proch i pył, pozwól sobie na małą uwagę na temat samej rubryki. Jej tytuł sugeruje, że czytelnik otrzyma porcję opinii spotykanych na tamach prasy z komentarzem pochodzącym od autora rubryki prowadzącego. Tak się praktykuje i tak się podobną rubrykę nazywa. Tymczasem w „Barwach” jest inaczej. Wśród fragmentów zacytowanych tekstów znajdujemy wyłącznie te, które zdaniem autora zawierają nie naświetlenie problemu, ale zasługujący na kpinę logiczny czy językowy kiks. Czyli sam autor rubryki nie potrafił jej nazwać.

Przejdźmy teraz do „błędów” mojego felietonu. Został z niego zacytowany obszerny fragment. Obszerny fragment cytuję się w intencji krytycznej wtedy, kiedy się chce wykazać niedorzeczność zawartej w nim myśli. Przygotowany byłem więc na to, że redaktor rubryki zwiertził coś nieszczerzłego w sposobie postawienia problemu, w spójności toku myślowego, w propozycji. Jest tam pewien zwrot, mianowicie dopominam się o aktualny slogan. Mógł metaforycznie chwycić, pozostając przy znaczeniu wyrazu „slogan” pejoratywnym. Daje słowo, że przy tej przenikliwości — mógł. Tymczasem chodzi mu o coś innego. Przyczepił się do jednego wyrazu. Wyrazem tym jest „ambicjonować”. Oczywiście że błąd korektorski, ma być „ambicjonować”, ale sprawozdawca prasowy mógł i tego nie chwycić. Ma zresztą czarno na białym? Ma. A kiedy się sporządza taką rubrykę, można sobie darować taką grakę? Nie można. Zabraknie materiału. Chyba że się sięgnie do macierzystego pisma, o czym za chwilę. Ale popatrzmy dalej. Biorę już na własne konto to „ambicjonować”. Natomiast co powiemy o redaktorze rubryki, który popelnia błąd włączeniu wyrazów? Ja piszę „ambicjonować się w kierunku”, a „skrzyknąć się przy czymś” on w komentarzu — „w kierunku skrzyknięcia się”. Po polskiemu to? I niech się nie tłumaczy że przedrażnienia. Bo wystyka mi błąd w pisowni, nie niezręczność stylistyczną. Niezręczność stylistyczną popelnia sam. I nawet powiem mu dlaczego: chce zastosować ten nagminny chwyt „dowcipnej” drwiny, który polega na strawestowaniu krytykowanego sformułowania. Tylko w tym wypadku nie ma na to materiału. Ale wzdór do jeszcze jednego odklepania jest. I odklepał.

Popatrzmy teraz na niektóre inne komentarze dyktandowego krytyka. Można by na wszystkie bo są tego samego rodzaju, ale tutaj obowiązuje oszczędność miejsca. Ograniczę się więc do reprezentacyjnych próbek.

W 24 numerze „Literatury” prof. Tadeusz Kiełanowski mówi, że mrowki nie opiekują się słonymi ani gramonym okazami swego gatunku. Jego rozmówca, Roman Katusza, podtrzymując temat, słonym jest opuska zdrowotna w społeczeństwie ludzkim, wtrąca zdanie: „Ludzie chyba rozniają się czymś od mrowów?” Komentarz krytyka z „Barw”: „Jeśli się czymś rozniają, to chyba jedynie organizacją służby zdrowia. Poza tym mrowka od człowieka raczej odróżnić trudno”. Co za czynności! Przecież Katusza powinien odzwyczaić się tak: „Panie Profesorze, ludzie od mrowów rozniają się kształtem ciała, rozróżnieniem pozywienia, miejscem zamieszkania sposobem rozmnażania się i jeszcze pod kilkoma innymi względami”. Wtedy nie spowodowałoby stracha logiki.

W 26 numerze „Kierunków” jest zacytowane zdanie Umińskiego zdanie mówiące o tym, że książka w domu, nawet nie czytana, jest ważnym faktem kulturowym. Oczywiście atorytyzyczna forma tego sformułowania jest do uczywienia dla pewnych czytelników dlatego komentarz „Barw” triumfuje. „Można by nawet odważnie jeszcze — wystarczy okładka”.

W 28 numerze „Tygodnika Kulturalnego” jest mowa o znawców śpiewu, którzy na śpiewie reby zjedli. Czy coś tu żał! Czy nie istnieje w języku polskim idiom „zjeść zębami”? Dla przegadającego prasę w „Barwach” nie istnieje. Ale może cześć mu i chwala! Bo nie ukrywa. Odważnie się do tego przyznaje. Tylko kwestia, czy skoro z takim skutkiem czyta, nie powinien na czytaniu poprzestać.

Zaglądnijmy teraz do tego samego numeru „Barw”.

Strona 1, szpalta 2, wiersze 10-11 od dołu: „... przyjedzie kino — i to takie jakie przyjedzie”. Nie mylić z innym.

Strona 3, szpalta 4-5, wiersz 36 od dołu: „... zero pomnożone nawet przez milion”. Nie ma takiego działania.

Strona 4 szpalta 1, wiersze 22-24 od góry: „nawigując do wstępu, właśnie Luków posiada imponującą liczbę ludowych twórców”. Idąc dalej, na prawo leżała łąka.

Strona 15, szpalta 1, wiersze 19-23 od dołu: „Na pańskim miejscu zacząłbym jeszcze raz robotę nad tym utworem i to zaczynając, nie tak jak było u Staffa od dymu z kominą lecz od środka”. Do czego to przypiął Owazem, istnieje wiersz Staffa „Podwaliny”, który ze względu na rozmiar można przytoczyć w całości.

Budowałem na piasku
I zawaliło się.
Budowałem na skale
I zawaliło się.
Teraz budując zacząć
Od dymu z kominą.

Jak widzimy, autor rady oceniając wiersz jako wyraz samokrytyki posłużył się przykładem Staffa jako przeciwwskazaniem.

Na tej samej stronie w wierszu Edwarda Kuczyńskiego „Ballada o piszczeniu” czytamy: „Spokojnym nie był już tam świat, spokojnym nie był wieczór”.

Spokojną głowa, nie będę cytował dalej. Zaznaczam też, że numeru nie przeczytałem od deski do deski.

(Deski! Strzelać Guciu! Przecież „Barwy” drukują się na papierze!)

Ijon

Podbrzusze górą!

Na ostatniej stronie „Przekroju” (nr 1687) ukazał się tekst o następującej treści:

„REGION

W nrze 125 „Sztandaru Ludu” zamieszczono kilka głębokich uwag o pewnej wystawie fotograficznej:

W związku z dorocznym świętem „Sztandaru Ludu”, w salach recepcyjnych redakcji otwarta została wystawa fotografii czarno-białej i barwnej, zatytułowana: „Region w obiektywie Waldemara Stępnia”.

Zgromadzone na wystawie prace znanego fotoreportera naszej gazety stanowią retrospektywny obraz jego trwałych zainteresowań i wieloletnich poszukiwań twórczych, prowadzonych we wszystkich zakątkach naszego regionu...

Materializując na celuloidowej taśmie fragmenty otaczającej nas rzeczywistości, natchniony prawdziwym jej pięknem, przekazuje on nam to piękno w formie bardzo odkrywczej, o czym zaświadcza obok reprodukcja jednej z prezentowanych na wystawie prac.

W ten sposób Podbrzusze doszłowało do takich regionów jak Podlasie czy Podhale.

Nadstąpił I. Miszczyk

Pani I. Miszczyk szpetnie nabrała „Przekroju”. Sądzę, że gdyby redakcja „Przekroju” otrzymała nie wycinek, ale całą ostatnią stronę 125 nr-u „Sztandaru Ludu” łatwo by się zorientowała, iż chodzi o zwykły żart. Okazją ku temu stało się właśnie doroczne święto „Sztandaru Ludu”.

Podbrzusze ma jednak swój urok. Poprosiliśmy Waldemara Stępnia o udostępnienie nam oryginalnego zdjęcia owego nieznanego „Przekroju” regionu. Sądzimy, że nasza reprodukcja jest bardziej wyrazista.



Pani I. Miszczyk należy zaś życzyć dalszych odkryć. Zwłaszcza 1 kwietnia plon może być szczególnie obfity, ale i innych okazji lekceważyć nie należy.

MAJ

Casanova Pamietniki

rys Krystyna Wojcik

KAJETAN JÓZEF JAKUB CASANOVA POŚWIECIŁ SIĘ SZTUCE TANECZNEJ NAPRZECIWKO DOMU, W KTÓRYM MIESZKAŁ - MIAŁ SIEDZIBĘ, SZEWCA, Z ŻONĄ I CÓRKĄ, ZANETTA, - MŁODY KOMEDIANT ZAKOCHAŁ SIĘ W DZIEWCZYNI I ZDOŁAŁ PRZEMÓWIC DO JEJ UCZUC

PAN BAFFO, PRZYJACIEL MEGO OJCA, DOPOMÓGŁE W ODPA NIU MNIE DO SZKOŁY W PADWIE, MIAŁEM ZOSTAĆ NA STANCJI U STAREJ KROATKI.

KROATKA ZAPROWADZIŁA MNIE NA STRYCH I WSKAZAŁA JEDNO Z PIĘCIU KÓZEK SZCZURY, HASAJĄCE PO STRYCHU - NIEDOŻYWIENIE - GEÓD...

WYPATRYŁEM ŚLEDZIE WĘDZONE W SZAFIE - POZARAŁEM JE...

WSTAWAŁEM W NOCY I PLADROWAŁEM PO OMACKU.

OKAZAŁE DO KRADZIEŻY NIE NADARZAŁY SIĘ, CZĘSTO -

URODZIŁEM SIĘ, Z TEGO STADKA 2 KWIETNIA 1725 ROKU...

CHUDY BYŁEM JAK SZKIELET!